

Bogdan Banasiak

*O poezji w ten niepoetycki czas*

Poezja jest przeżytkiem. Czy bowiem w dzisiejszym świecie – świecie mass mediów, telefonii komórkowej i poczty elektronicznej, które nawet pisanie listów wypchnęły w zapomnienie – w tej „globalnej wiosce” ktoś jeszcze czytuje poezję, kogoś ona jeszcze obchodzi? Czy obrazkowy świat jest w stanie docenić słowo?

Bezpowrotnie odszedł w przeszłość (i niemal w niepamięć) poprzedni *fin de siècle*, ów czas, gdy owinięci szalami i czarnymi pelerynami poeci o rozwianych fryzurach przemierzali ulice europejskich metropolii, przy kawiarnianych stolikach, w oparach absyntu i papierosowego dymu, na serwetkach pospiesznie skreślali kolejne wiersze. Ów czas fermentu: w towarzystwie, na salonach, w codziennej prasie, i eksperymencie: symboliści, surrealiści, dadaiści, futuryści... Czas fermentu, bo poezję się czytywało, rozprawiano się o niej, była powodem spotkań, debat, sporów, i nawet snobizm skłaniał do sięgania po nią: i słowa poetów, i oni sami skupiali uwagę, i budzili zainteresowanie. Czas eksperymentu, bo poezja była znakiem poszukiwań. A szukano nie tylko nowych rozwiązań formalnych i konceptualnych, sposobów obrazowania, ewokowanej przez poezję nadrealności, nowej wrażliwości, ale też narzędzi i metod przekształcania świadomości, chcąc za jej pomocą wpływać na kształt świata (co w dzisiejszym rozpolitykowanym świecie może już tylko budzić uśmiech politowania).

Kto dziś tęskni za tamtym *spleenem*. Minał czas poezji.

A jednak i dziś – mimo wszystko (a zatem mimo wszelkich przeciwności, włącznie z merkantylną postawą wydawców, wychodzących od pytania: „kto to kupi?”) – jest odrobina miejsca na poezję. I nie mam wątpliwości, że pisanie Zięby tego dowodzi. Tyle, że musi to być inna poezja.

W tym zaś przypadku inność tę widać już na pierwszy rzut oka: tekst najeżony cudzysłowami, nawiasami, kursywą, cytatami wraz z odsyłaczami i adresami bibliograficznymi, nawet pomieszczone w przypisach komentarze do podejmowanych wątków. A do tego jeszcze słowa i zwroty obcojęzyczne (łacina, greka, francuski,

angielski, niemiecki) i obszerny zestaw mitycznych imion i historycznych nazwisk. Skojarzenia są dość oczywiste: toż to przecież cały wachlarz narzędzi właściwych teoretycznej rozprawie, i to rozprawie filozoficznej, w tym bowiem względzie wątpliwości nie pozostawiają powracające imiona własne: Nietzsche, Bataille, Sokrates... Wbrew czytelniczym przyzwyczajeniom Zięba sytuuje swe pisanie niejako na pograniczu poezji i dysertacji naukowej, a zatem gdzieś w pobliżu eseistyki. Dlaczego? Czyżby chciał poezji przydać naukowej powagi, a teoretycznej refleksji – charakterystycznej dla poezji lekkości i wieloznaczności? Tak zamierzone przedsięwzięcie byłoby karkołomne. Odpowiedź, jak się wydaje, jest prostsza, ale i bardziej dramatyczna: należy on do tych nielicznych, którzy od myślenia nie mogą się uwolnić, wręcz są na nie skazani. Co więcej, bodaj właśnie ono w znacznej mierze skłania go do pisania.

Toteż jego wiersze (w których nie znajdziemy ani sentymentalnej liryczności, ani silenia się za wszelką cenę na eksperyment formalny, ani wreszcie dość popularnej dziś płaskiej obsceniczności, sprowadzającej się zwłaszcza do wyzwisk i przekleństw) czyta się jak eseistykę, która odsyła do szerokiej gamy skojarzeń, analogii i... zmusza do myślenia. W dzisiejszym oduczającym myślenia świecie.

A zatem poezja filozoficzna? To trudny, ryzykowny rodzaj pisania, niemal autodestrukcyjny, bardzo łatwo bowiem może on sam siebie przytłoczyć ciężarem pojęć obarczonych wielowiekową tradycją, może zabić obrazowość i wieloznaczność poprawnym tokiem rozumowania, usunąć w cień myślenie nieodpartymi wnioskami. Tymczasem Ziębie udaje się wyjść z tej opresji obronną ręką, zresztą nie tylko dlatego, że sprawnie, a nawet swobodnie porusza się w gąszczu filozoficznej tradycji. Choć bywa trudny w recepcji – gdy cytuje fragmenty dzieł filozoficznych lub historycznych (a słowa przezeń przytaczane nigdy nie tchną oczywistością) – to jednak pojawiające się u niego postacie (i rzeczywiste, i mityczne) występują jako swego rodzaju „postacie pojęciowe” (by posłużyć się określeniem Deleuze’a): ani bowiem ściśle nie odsyłają do historycznych czasów i okoliczności bądź mitycznych ról, ani nie mają ostrości (i ciężkości) zwykłej konceptualizacji – raczej ewokują wątki, napięcia: raczej sygnalizują, problematyzują kwestie niż próbują udzielać wyraźnych i jednoznacznych odpowiedzi. Zresztą mitem Zięba posługuje się tak, jak

Grecy: co trudno wypowiedzieć wprost, Grek sugerował za pośrednictwem mitycznej metaforyki, ściśle zresztą skorelowanej z jego widzeniem świata, w którym zresztą on sam był mocno osadzony, bo mit przenikał życie. Poezja filozoficzna.

Często zresztą inspiracją dla Zięby są lektury, czego dowodzi choćby jego namysł nad statusem przemocy, w jawny sposób inspirowany dziełami Bataille'a, Artauda, Geneta i Girarda. Niejako zasadą czytania przezeń książek jest aktywna reakcja, polemika, namysł. Zapewne z tego powodu, że obok wielu kwestii intelektualno-egzystencjalnych po prostu nie potrafi on przejść obojętnie, ale też dlatego, że to lekturowe lustro służy mu za istotne narzędzie samookreślenia, które w pisaniu znajduje swego rodzaju obiektywizację. Może też gest pisania jest gestem egzorcysty, który dzięki słowu jest w stanie utrzymać na dystans własne demony. „Do pisania zmusza mnie lęk, bym nie oszalał” – pisał Bataille.

Jest to jednak pisanie intelektualisty, który dawno już utracił złudzenia co do uniwersalnej wagi słowa (któż bowiem dziś miałby jeszcze nadzieję na dokonanie „rewolucji tekstualnej”), dawno rozczarował się co do znaczenia książki i myśli w konfrontacji ze światem w ogóle (opanowanym przez polityczną przemoc) i z codziennością w szczególności (zdominowaną przez inercyjną nijakość). Ale to też pisanie intelektualisty, który jednak wciąż nawiedzany jest przez „zjawę” Sokratesa (stanowiącego niejako symbol myśliciela i postawy zaprawionej stałą nutą refleksji). Toteż Zięba nie ma wyboru. Dlatego – już bez złudzeń – stale podejmuje próby (nieodwołalnie skazane na niepowodzenie, jak filozofia w ogóle) rozpoznawania i osławiania świata słowem, odsłonięcia choćby cząstek jego ładu. I w przemyśleniach, dyskusjach z tradycją daje wyraz... swym kolejnym rozczarowaniom.

Ale inspiracje Zięby nie mają charakteru ściśle refleksyjnego: oto bowiem niedzielna golonka w barze (dzięki swej cykliczności stanowiąca bez mała element prywatnej tradycji, prywatnej namiastki *sacrum*) staje się równie poważnym asumptem do przemyśleń. I bodaj właśnie to przemieszanie porządku codzienności, banalnych zdarzeń z lekturami autorów najwyższych lotów stanowi potwierdzenie, jak znaczącą rolę dla Zięby odgrywa myślenie. Te porządki nie są dlań bowiem heteronomiczne, lecz przenikają się i ściśle łączą, toteż jasne się staje, że nawet przy golonce czy przy lampce koniaku (lub butelce wódki) nie można się uwolnić od

potrzeby myślenia. Ono bowiem jest pewną stałą, wręcz wyrokiem. I nawet potwierdzone stale przekonanie, że w obliczu spragmatyzowanej codzienności stanowi niewiele, że nie ułatwia życia ani nie pomaga znaleźć w nim swego miejsca, a wręcz stanowi piętno czy garb, nie zmienia postawy autora.

Grecy rozumieli filozofię jako „umiłowanie mądrości”, i dalecy od zaprawionego megalomanią przeświadczenia, że ją posiadli, stale jej poszukiwali. To bodaj bliskie Ziębie, u którego najczęściej powraca imię Sokratesa, niejako symbolu takiej właśnie postawy.

A w tym kontekście znamienne jest to, że w istotnej mierze Zięba – dzięki swemu uwrażliwieniu – sytuuje się w ramach tradycji, która, jak się wydaje, jest mu bardzo bliska. Dla Artauda prawdziwym dziełem sztuki było „dzieło-życie”, jak Sade, jak Nietzsche, uwrażliwiony był on na konieczną łączność między myśleniem i egzystencją, wręcz organicznie nie potrafił oddzielić obu tych porządków. Podobna łączność ujawnia się u Zięby: stąd nieusuwalne poczucie zdrady wobec tej jedności. I stąd jego poezja w pewnej mierze jawi się swego rodzaju „spowiedź” dotycząca dylematów związanych z dramatem dokonywania wyborów: dojmująca konieczność zdradzenia ideałów suwerenności (w istocie autodestrukcyjnych) na rzecz spragmatyzowania postaw i choćby minimalnego (i tylko minimalnego) uzgodnienia ich z wymogami trywialnej normalności. Codziennosc bowiem – płaska, mdła i bezduszna (a tylko niekiedy „poetyczna”) – każe płacić haracz.

I tylko czasem zadźwięczy – zresztą bez cienia patosu – słowo „samotność”. A poezja Zięby w znacznej też mierze wyrasta z dokuczliwego poczucia samotności i, by się ogólniej wyrazić, społecznej dysfunkcyjności, czyli po prostu wykorzenia, wyobcowania i nieprzystosowania (wzmacnianych jeszcze przez refleksję, bo ta pozwala widzieć „jasnowzrocznie”).

Jest też ona w znacznej mierze zdawkową i ostrożną opowieścią o kilku fascynacjach (labirynt, nomada – wykorzenie sprawia, że wciąż jest się w drodze, wciąż szuka się swej „ziemi obiecanej”), urzeczeniach (*sacrum*), pragnieniach (egzystencja ekscesywna) i tęsknotach (muzyka – wyzwanie, jakiego nie podjął Sokrates). Toteż można uznać, iż pisanie Zięby jest prywatnym (bo nie pretendującym do uniwersalności; rozczarowanie nierealizowalnością takiego pragnienia także ma on

za sobą) poszukiwaniem (w meandrach myśli i codzienności) czegoś – paradoksalnie – z porządku absolutnego. Z pełną świadomością jego nieobecności. A zatem ze świadomością nienasycenia i niespełnienia – stałych składowych ludzkiej kondycji, choć powiedzmy to też bez pretensji do uniwersalności, bo przecież tylko „niektóre jasnowzroczone umysły”...

Zwraca przy tym uwagę – i to znów mocna strona tego pisarstwa – duża samoświadomość Zięby: niezwykle przenikliwy jest on wówczas, gdy pisze o tym, jak ktoś taki, jak on, i takie pisanie, jak jego autorstwa, są, mogą, a nawet muszą być odbierane. Nie ma tu „rozdzierania szat”, nawet gorycz jest chłodna, dominuje natomiast jasna świadomość tego stanu, może nawet zaprawiona nutą autoironii.

„Kwiaty są przeżytkiem” – pisze Zięba. I niewątpliwie ma rację. Są też znakiem nieznośnej konwencji i banału, co odnotowuję w popularne imieniny, widząc w pobliskiej kwiaciarni wzmożony ruch. Ale przecież zdarzyło mi się – a zapewne nie jestem w tym względzie wyjątkiem – ofiarować jakiejś kobiecie różę. Tak po prostu. Choć „kwiaty są przeżytkiem”.